



PARADA

ROK III

DRUGI NUMER W MAJU 1945 R.
M A Y 1945 (2nd ISSUE)

Nr 11 (55)



Generałowie polscy entuzjastycznie witani przez ludność rzywiłą Bolonii



Flagi polskie, brytyjskie i amerykańskie
powiewały z domów Imola
Żołnierz Dowódcy oddziałów polskich, które
zdobyły Imolę — obłożony przez rozera
tuzjasmowany tłum



Bolonia witała wybawców flagami Sprzymierzonych

Afiszę wroga pokryły powitalne napisy



POWITANIE ZWYCIĘZCÓW

NIEMCY ZWYCIEŻONE

W chwili, gdy bieżący numer „Parady” szedł pod prasę, ogłoszono oficjalnie bezwarunkową kapitulację Niemiec. Po pięciu latach i ośmiu miesiącach walk, jakich dotąd nie znała historia — Niemcy zostały powalone. Jest to w pełnym tego słowa znaczeniu zwycięstwo wojenne. Armia niemiecka została pobita na polach bitew — zmiażdżona na lądzie, na morzach i w powietrzu. Rzesza leży w gruzach — w gruzach swych miast i w gruzach mitu swej rzekomej niezwyciężalności.

Zwycięstwo jest wspólnym dziełem Sprzymierzonych, osiągnięte olbrzymimi ofiarami. Ten historyczny dzień jest i polskim zwycięstwem. Niemcom nie ulegliśmy nigdzie. Walczyliśmy przeciwko nim od 1 września 1939 roku wszędzie i na wszystkich frontach tej wojny. Zwyciężaliśmy ich również w Kraju. Polskie Państwo Podziemne prowadziło nieustanną walkę przeciwko niemieckim okupantom, a polska Armia Krajowa z wszystkich armii sprzymierzonych walczyła najdłużej na froncie przeciwniemieckim. My Polacy, którzyśmy pierwsi podnieśli broń przeciwko Hitlerowi, którzyśmy pierwsi podnieśli broń w obronie demokracji, wolności i sprawiedliwości, święcić będziemy zawsze ów dzień triumfu nad łupieskim niemieckim najeźdźcą. Fatum dziejowe spełniło się nad Niemcami, ku potwierdzeniu zasady, że co jest zbudowane na krzywdzie, agresji, przemocy i gwałcie, musi upaść.

Dzielimy w pełni radość zwycięstwa z naszymi sprzymierzeńcami. Patrzymy z dumą i ze spokojem dobrze wykonanego obowiązku na owe lata walk, które więzami żołnierskiego braterstwa związały nas z brytyjskimi towarzyszami broni.

Jesteśmy wierni naszym soюзom właśnie dlatego, że w najcięższych nawet momentach potrafimy być wierni samym sobie — polskiej racji stanu.

Zwycięstwo nad Niemcami nie oznacza naszego powrotu do domu. „Do Polski — jak powiedział Naczelnny Wódz Generał Anders — wrócić możemy tylko z bronią w ręku” — jako żołnierze i obywatele wolnej i prawdziwie niepodległej Polski.

Rozpoczęliśmy tę wojnę w obronie podstawowego prawa wolności, prawa do życia w niepodległym państwie polskim. Z tego kardynalnego prawa nie zrezygnujemy nigdy, jak i nie wyprzemy się przekonania, że sprawiedliwość winna rządzić narodami, a nie siła.

W dniu wielkiego zwycięstwa chylimy czoła w hołdzie i w serdecznej zadumie, czcąc pamięć tych, którzy polegli. Wypełnili oni bez reszty swój obowiązek, ginąc w walce o Polskę całą, wolną i niepodległą.

Pozostaniemy Im wierni zawsze i w każdych okolicznościach.

J. M.



NASTĘPNY NUMER „PARADY” POŚWIĘCONY ZWYCIĘSTWU NAD NIEMCAMI, UKAŻE SIĘ W ZNACZNIE ZWIĘKSZONYM NAKŁADZIE I OBJĘTOŚCI

A black and white photograph of the Palazzo Vecchio in Florence, Italy. The image is taken from a low angle, looking up at the massive stone structure. The central feature is the tall, slender tower (Torre del Palazzo) which is topped by a large, ornate dome. The dome has a series of arched windows and a small lantern at the very top. The tower is flanked by other parts of the building, including a section with a series of arched windows on the left. The sky is a uniform, light gray, suggesting an overcast day. The overall composition emphasizes the height and grandeur of the Renaissance architecture.

A black and white photograph of a street in Florence, Italy, looking up towards the tall, slender Campanile di Santa Maria del Fiore (Giotto's Campanile) tower. The street is lined with historic buildings, and several people are visible in the foreground walking along the sidewalk.

Czołgi, wozy pancerne i kariery umajone zielenią. Pancerze, działa i karabiny maszynowe — wszystko spowite gąszczami. Nawet siatki na hełmach ludzie przyodzobili zielenią, raczej z fantazji, niż z konieczności maskowniczych. Ta maskarada wojenna na tle zakurzonych koron przydrożnych drzew i bezbrzeżnej wiosennej zieleni jest nawet miła dla oka. W kamuflażowych, prawie odświeżonych strojach wygląda to wszystko bardzo pokojowo, raczej na weekend'owy wyjazd za miasto.

Łomocą o bruk gasienice, nurzają się w piachu polnych ścieżyn lub moczą w brodach. Wybijają rytm ciągłego marsza, bezprzestannym obrotem mierzą przestrzeń. Z ciężko pracujących silników bije gorąco, z ludzkich ciał — pot. Wspólny wysiłek człowieka i maszyny na rzecz wojny przenosi ją coraz bardziej na północ. Zużywa się i psuje maszyna, męczy się i słabnie człowiek, tylko że człowiek posiada niepomniernie daleko posuniętą granicę wytrzymałości i stąd wojna rozciąga się na szereg lat.

Ciepłe, wiosenne dni. Wprawdzie niebo kaprysi niekiedy i chowa się za przesłone mglistych chmur, ale wnet rozjaśnia się pożłocistym uśmiechem słońca, ogarniającego promienistym zalewem przybolonejszą równinę. Kurz, goniący na oślep po drogach, nasycą powietrze pylnym obłokiem, przesłania niebo i ziemię, obila modrzewie, morwy, jodły i topole przydrożne. Jedyne zdala od dróg roślinność posiada właściwą barwę. Ruń pszeniczna łąduje wszelkimi odmianami zieleni. Złocą się jaskry, biela rumianki; skromne, potulne stokrotki czepiają się skłonów przekopów odwadniających. Aksamitne kulki dmuchawców kołyszą się na wiotkich szypułkach, broniąc się wylrwale przed wiatrem. W trawie zakrzępyły krwawe plamki — maki.

Wiosna włoska u stóp apenińskich maszywu! Tym razem wiosna ofensywy ostateczniej. Rozgrywka, mobilizacja ludzkich sił i możliwości. Przrydza swoje, człowiek swoje. Owszem, wiosna sprzyja operacjom, wzmacnia nasilenie wojny. Jej piękno staje się niedostrzegalną ubocznością, wobec warunków bojowych, które stwarza. Idzie broń pancerna, idą stalowe olbrzymy, które zmiatają przeciwnika. Biją działa, grzmiać odpalenia i wybuchy. Orzą ziemię gasienice i pociśki, bronią buldozer, jest siejba, jest pług. W grozie walki zatracą się urok wiosny.

Pała się chaty, właściwie ich resztki. Śwąd spalenizny roznosi się po polach wraz z gryzącym dymem. Dogasające popieliszczą i zgłiszczą zgorzałych chat. Zabite, rozdeptane, robocze krowy, które orały ziemię, leżą teraz na tych skibach, użyżniając je swym cielskiem. Gdzie się obrócić — ruiny. Kupy cegieł, belek, tynku, jakieś szutrowiska — pogrobowce dawnych ludzkich gniazd.

Różne są ruiny. Są chaty z przestrzelonymi ścianami, zawalonymi dachami, lub urwanymi skrzydłami, są takie, które — przełożone — jakby obdarte z frontonów, obnażają swe okaleczone wnętrza poprzez wszystkie piętra. Coś z telmajerowskiego „Króla Andrzeja”. Widać na różnych kondygnacjach porzucone, przysypane tyńkiem meble, widać malowidła ścienne, łóżka, stoły, obrazy świętych. W tych pokojach żyli do niedawna ludzie, odbierali doznania

www.cbw.pl

VENERDI 26 APRILE
TRIDUO IN ONORE DI

UOMINI!

Vi si attende **TUTTI** il 22 Aprile
nella **BASILICA-SANTUARIO DI S. ANTONIO**
fuori porta S. Stefano, per celebrare insieme
la festa del

Wasi wolność przynieśli

POLACY

Ci, którzy pierwsi oparli się
tyraniu w 1939 roku

Ci, którzy nad wszystko
cenia swobodę człowieka
i wolność narodu

Ci, którzy w walce o wolność i
sprawiedliwość nie ustają

Ci, którzy w niezyja
nie pójda niewole

Bo walczą

O WASZA I O NASZA WOLNOŚĆ.
CZEŚĆ NIEMIERTELNEJ (ITALII)

Kresowa Dywizja Pieluch
Dywizja Polskiego Związku i Włókna

Italiani
I Polacchi vi portano la Libertà
I primi che nel 1939 si opposero alla Tirannia
che sopra ogni cosa amano la Libertà dell'
UOMO e della NAZIONE
che nella lotta per la LIBERTÀ e la GIUSTIZIA
non cesseranno mai
E che a costo di qualunque sacrificio
rigetteranno la schiavitù!

Italiani
Combattiamo per la NOSTRA e VOSTRA
LIBERTÀ!
W L'ITALIA IMMORTALE

DIVISIONE DI FANTERIA - BRASOWA
DIVISIONE DELLE CITTA' POLACCHE LIPOPOL E VILNA

wszelkiego rodzaju — rozciągłość kontrastów radości i smutku, rozkoszy i cierpienia, marzeń i rzeczywistości.

Tędy przechodziła broń pancerna, tu toczyła się walka o Bolonię. Wielka, jak okiem sięgnąć, równina — pobojuwisko. Snują się jeszcze dymy dogasających czołgów. Dwa Shermany. Niemieckie pudła już dawno zagasty, jest ich trzykroć więcej. Leżą teraz w polu, czarne, okopcone, jak wygasłe piece — martwe, zaryte w ziemię, z niegroźnymi już lufami dział. Powalone kolosy, jak gdyby upokorzone w swej zarozumiałej potędze, stanowią teraz kupę przepalonego żelastwa, rozdętego, poszarpanego wewnątrz eksplozjami amunicji i paliwa.

Przód jednego z Shermanów już stygnie, płomieniem tylko pali się tył. W przodzie, tuż przy siedzeniu kierowcy, okrągły otwór w pancerzu wielkości dłoni, nad gasienicą — drugi, podobny otwór. We wnętrzu, wśród przepalonych i grubą warstwą sadzy okrytych szczątków, w pozycji siedzącej trup kierowcy — węgielek jak po spalonym polanie, chropawy, popękany węgielek z zarysami czaszki i rąk. W potrząskanych częściach węgielka, przez szczeliny bieleją kości kregosłupa.

W polu leżą zabici Niemcy. Leżą w różnych pozach, tam i tak, jak padli. Obśladły ich muchy, roje much mające tu suto żerowisko. Ktoś ponakrywał twarze zabitych papierem, celą, hełmami. Przy trupach rozsypane żołnierskie mienie. Menażki, manierki, papiery, list nie wysłany, bochenek chleba — czarnego niemieckiego chleba — zalany krwią. Tak, list nie będzie już wysłany, ani chleb zjedzony. Nie będzie Gretchen, ani Luischen czytała listów spadochroniarza i nie będzie już jak w pieśni: „...Wir werden weiter marschieren, wen alles in Scherben zerschällt”. To przecież już finał, to przecież „in Scherben” sypią się Niemcy.

A jednak fanatycznie walczyli. Ukryci, zamaskowani w terenie, bili pojedynczymi strzałami w naszą tyralierę. Strzelcy wyborowi. Padło z ich ręki kilku naszych żołnierzy. Ukryci za wałami, we wnętrzu, z lunetą u oka, mieli doskonałe pole obstrzału. Wytrzebili ich dopiero nasi komandosi, którzy brawurowym natarciem dopadli ich stanowisk, odnajdowali ich pojedynczych, rozrzuconych w terenie. Mieli zdrowe nerwy, te Szwaby! Już od skrzydła zachodziły ich nasze czołgi, odcinając im odwrót!

Padł tu śmiercią żołnierza i samarytanka ksiądz Waculik, kapelan komandosów. Młody, dzielny człowiek, popularny wśród wojska. Poszedł do natarcia wraz z czołową grupą: „Może komuś pomoże”. Pomógł. Słyszając, że jest któryś ranny, doczołgał się doń i próbował odciągnąć do tyłu. Ratując rannego, otrzymał od snipera postrzał w brzuch. Snipera udało się schwycić; był ranny — odesłano go do szpitala. Zemsta na pewno nie byłaby po myśli kapelana. Ksiądz zmarł po krótkich mękach. „Boże, miej litość nad moją duszą”, były ostatnie jego słowa.

Posuwające się naprzód oddziały odnalazły zwłoki ppor. Cz. i jednego strzelca, którzy dostali się do niewoli niemieckiej. Obaj zostali zamordowani w bestialski sposób. Zezwierzęcenie — to określenie uwłaczające zwierzętom, raczej — rozniezczenie, zhitleryzowanie. Nie jest to w ostatniej ofensywie sporadyczny, a właśnie — notoryczny wypadek. Rozwydrzeni spadochroniarze i dywizji dorzynały naszych rannych, pastwili się nad nimi, przycinali im żyły, wylamywali palce.

W walce w pobliżu szosy Nr 9 oddziały nasze zdobyły dwa niemieckie SP. Jeden z nich zarył się w rowie przydrożnym: załoga ukryła się w chacie, skąd następnie została zabrana do niewoli przez Nowozelandczyków. Drugi wycyfował się ciągle przed naszymi czołgami. Okrążana przez naszą piechotę,

obsługa wyskoczyła i zdołała zbiec, za wyjątkiem jednego, którego dosięgnęła kula. Oba SP — „na chodzie”, z zapasem amunicji do dział. Wewnątrz żołnierskie bety, listy, pocztówki, gazety, książki. Nasi kierownicy odprowadzili te działa, choć można było odwrócić je na nieprzyjaciela i przemówić z jego własnej broni.

Prowadzą jeńców. Już nie buńczucznych, pewnych siebie jak przed laty. To już jeńcy narodu bitego, armii cofającej się bez przerwy, znoszącej klęskę za klęską. Jest w nich strach ściganego zwierzęcia, wyczerpanie, piętno niedostatku i łepa bezwola. Są to przeważnie młodzi ludzie, niektórzy nawet o dzieciennych twarzach. W zniszczonych ubraniach i płachtach maskowniczych, na piersiach mają wyszytego rozpiętego orła siedzącego na swastyce — emblemat spadochronowej dywizji.

Bije własna artyleria. Na horyzoncie obłoki rozplywającego się dymu. Spokojnie, ślizgając się na skrzydłach płynie na niebie „Kubus”. Mija go i leci w stronę pozycji nieprzyjaciela eskadra lekkich bombowców. Zuowu eksplozje i dymy. Szosą i ścieżkami podążają patrole. Idą także muły, te drepacze na ogonach, łepo, nieczułe, z przyrodzonym im stoicyzmem. Są obciążone amunicją i żywnością. Saperzy budują przeprawy. Mała łdica szemrze potoczystym prądem, dąsa się na krępujące siatki układane na jej zwirowatym łożysku. Odzież, na przyzbach rozbitych chat namiętnie flirtują odpoczywający żołnierze.

Rano, w godzinę po zdobyciu Bolonii, przybywam do miasta na rozklekotanym wozie BBC. Tłumy, niezliczone tłumy wyległy na ulice. Przejechać nie można, tak ciasno od różnobarwnego mrowia ludzkiego. Wiwatowania, okrzyki, wrzaski. Łopocą chorągwie alianckie na wieżach S. Luca i S. Michele, powiewają na wszystkich bodaj domach, balkony udekorowane są dywanami, ściany — odezwami do ludności i sloganami. Entuzjazm nie do opisania. Uśmiechnięte, rozradowane twarze, życzliwe gesty i okrzyki, narecza kwiatów. Evviva Polonia! Evviva nostri liberatori!

Od strony północnej wkraczają do miasta oddziały włoskie. Ci budzą jeszcze większy entuzjazm. Są obwieszani sztandarami włoskimi, nawet muły mają przypięte trójbarwne kokardy. Po mieście uwijają się partyzanci, dumni i radośni, jakby to oni byli bohaterami dnia. Jest wśród nich dużo młodych kobiet. Na jednym z wozów dostrzegam uroczą dziewczynę w granatowym kombinezonie. Uśmiecha się perlistym dwurzędem ząbków, wiatr rozwiewa jej przebogata, złotą czuprynę. W rękach trzyma rewolwer i granat niemiecki. Wygrazanie bronią w zdobytym już mieście jest co najmniej niepotrzebne. Ale podoba mi się ten partyzant. Z takim wrogiem spotkałbym się w każdym miejscu i czasie...

Na placach Vittorio Emanuele i del Nettuno oraz na ulicach stoją czołgi. Inne dudnią po bruku ulic, za nimi terkoczą kariery i wozy pancerne. Żołnierze nasi spoglądają z wysokości wozów na rozentuzjasmowany tłum, oddają uśmiechy i pozdrowienia, ale nie dzielą ogólniejszej radości. Są raczej poważni, smutni. Nurtująca, wzmagająca się zawiść atakuje serca. Miasto jest wolne za wyjątkiem przedmieść prawie nie uszkodzonych, za dzień, za dwa wróci ono do normalnego życia. Pomału, a znikną gruzy, uporządkuje się domy, ustabilizuje się życie mieszkańców.

A my? My chyba pójdziemy dalej na północ. Będziemy dalej oswobadzać miasta i wsie, dalej toczyć krwawe boje, bo przecież wszystkie drogi prowadzą do Polski.

A ta Polska jest coraz bliższa, coraz bliższa a tak niemilosierdzie daleka.

JAN KIELEWICZ



Polski sztandar na szczycie „Torre” w Bolonii



Najświeższe władomości...

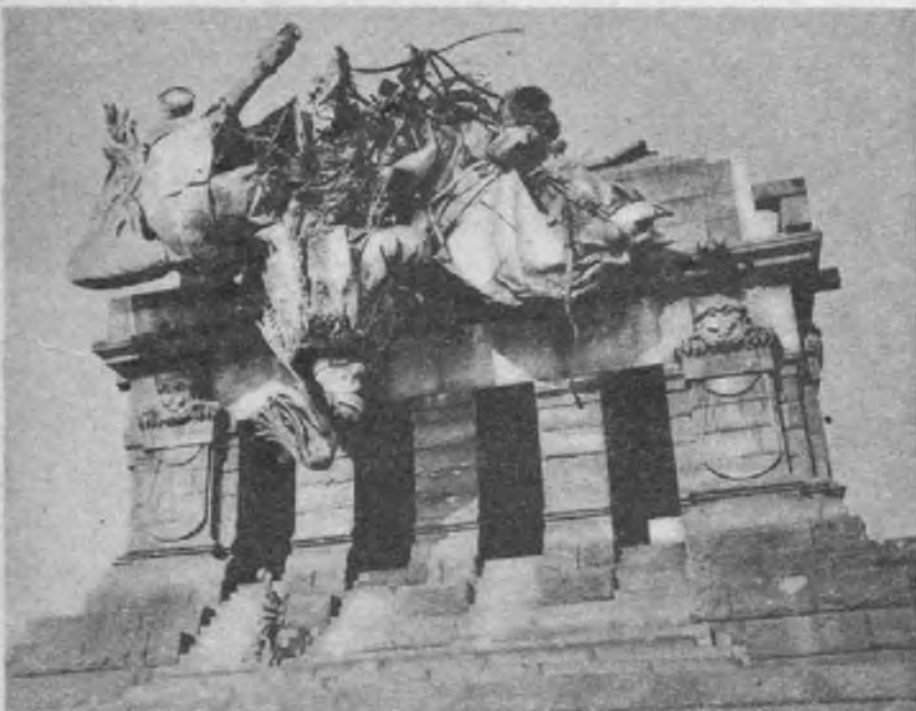
Nasz „wyborowy” poluje na niemieckiego „snipera”



Polskie oddziały pancerne na ulicach Bolonii



Adolf Hitler Niemiec Niemców



Rozwalony pociskiem pomnik Wilhelma I w Koblencji

↓ Marsz ku przepaści

HITLER NIE ŻYJE. W tej oficjalnej wiadomości niemieckiej, która równie dobrze może być kłamstwem, jak i prawdą, kryje się wiele możliwości, nie wiadomo czy kiedykolwiek wyjaśnionych: umarł na wylew krwi w mózgu, został zabity, lub popełnił samobójstwo, a może żyje gdzieś w Niemczech, może uciekł za granicę. Nic jednak, żadna legenda, nie zmienia faktu zasadniczego: Hitler nie żyje.

Żyje, być może, jako człowiek. Nie żyje już jako potęga, jako skoncentrowana wola państwa i narodu niemieckiego, jako źródło odwetu. Tego Hitlera nie ma! Zniknął, zostawiając Europę zniszczoną a Niemcy w upadku, jakiego nie znały ich dzieje, w upadku materialnym i moralnym. Podwójna była rola, odegrana przez Adolfa Hitlera na drodze, jaką pod jego przewodnictwem Niemcy przebyły, na przestrzeni lat dwunastu — od 1933 do 1945 roku: twórcy nieznanego przedtem wielkości niemieckiej, a zarazem grabarza wszystkiego, co on sam i poprzednicy wybudowali między Renem a Odrą. Grabarz zwyciężył twórcę. Przepadła wielkość, ementalizacja pozostała. Adolfowi-grabarzowi mimowolne świadectwo wystawił ostatni minister spraw zagranicznych Trzeciej Rzeszy, Schwerin von Krosigk, stwierdzając w swym orędziu do narodu niemieckiego, że „nienawiść otacza dziś Niemcy na całym świecie”. Jest to nienawiść z bezmiernej

krzywdy wyrosła, w następne pokolenia na pewno przekazywana, nie tylko uczuciowo, ale i politycznie.

Hitlera nie ma! Jest on już nie tylko niemiecką historią śmierci, zniszczenia i nędzy, historią przeraźliwie jasną, która nie wymaga lat badań i wyjaśniania różnych niewiadomych. Wypisali ją Niemcy dość wyraźnie na skórze milionów ludzi, kończy ją teraz nie mniej wyraźnie oręż sojusznicy na samych Niemcach. Nagrobkiem postawionym Hitlerowi i zbrodniom, które są ogólnie niemieckimi zbrodniami, powinien być proces, wielki proces Adolfa Hitlera. Publiczna lekcja dla tego wszystkiego, z czego mógł on wyrósć, i dla wszystkich, którzy stworzyli mu cieplarniane wprost warunki rozwoju. Będzie to lekcja niezbędna, do dziś bowiem, już po upadku Hitlera i Rzeszy, snują się duchy, wywołane kiedyś ręką Goebbelsa, i zaciemniające sprawy jasne, fakty przecież stwierdzone, więc także historię Führera.

Wbrew pozorom, świadomie stwarzanym, rodowód Hitlera jest prosty, nieskomplikowany, jest bardzo niemiecki. Nie można, nie trzeba go szukać — co ciągle jeszcze się spotyka — w „krzywdzie” Traktatu Wersalskiego, ani w upadku i demoralizacji republiki weimarskiej, czy też we własnej jego indywidualności, w ideologii partii narodowo-socjalistycznej. Podwójny jest klucz, którym otworzyć można zjawisko: Adolf Hitler. Jeden klucz, to instytucja niemieckiego sztabu generalnego, drugim jest polityka zwycięskich w tamtej wojnie państw zachodnich, W. Brytanii i Francji.

Hitler ruszył ze startu jako agent sztabu generalnego. W połowie dystansu, jeszcze przed dojściem do władzy, wsparty został połącznieniem przez swych mocodawców, przez przemysł, a później i junkrów. Nie byłoby Hitlera-Führera, gdyby nie sztab generalny, realizujący cele armii niemieckiej, wytyczone już w chwili podpisywania zawieszenia broni w 1918 roku. Nie byłoby Hitlera-Führera, gdyby nie teza socjalizującego generała Schleichera, że „istotne cele armii realizować można tylko za pomocą przywódcy ruchu najbardziej powszechnego i popularnego”. Istotnym celem była wojna. Był odwet!

Agent Adolf okazał się zdolniejszy, niż oczekiwano, i sprytniejszy. Przechytrzył swych protektorów, i wszystkich, którzy w demokratycznych wyborach roku 1932 dali mu najwięcej głosów, tych z prawa i lewa. Agent Adolf mógł się jednak odgrywać, mógł pokazywać kły i kąsać, bo szedł w tym samym, co tamci kierunku, bo szedł szybko, od sukcesu do triumfu, bo nie tylko reprezentował, ale i realizował istotne siły, tęsknoty, pragnienia niemieckie. Dążenia przemysłowców Thyssena i Kruppa, pragnienia panów Piefke i Kranske.

Adolf Hitler nie jest wyrazem jakiegoś nieszczęścia narodowego po pierwszej wojnie, ale instrumentem armii niemieckiej, służą sztabu generalnego. Jest uczniem generała Ludendorffa, który zalecał — „nie tylko pobicie armii nieprzyjacielskiej, ale również zniszczenie całego narodu, z którym będziemy w wojnie”. Hitler jest zjawiskiem nie przypadkowym, a typowym dla narodu niemieckiego. Tylko dlatego mógł on zdobyć powszechne, nieznanie przedtem poparcie Niemców, tym jedynie wytłumaczyć można ich niesłychane masowe okrucieństwa, których nie podobna by spowodować zwykłymi rozkazami. I również dlatego nie było nigdy mowy o poważnym ruchu podziemnym w Niemczech, ani przedtem, ani nawet teraz, w przededniu klęski. Pewność zwycięstwa pozwoliła



Tak witali kiedyś swego Führera, o którym mówią dzisiaj: „ten szubrawiec”

Oddziały niemieckie defilują przed Hitlerem, podczas kampanii wrześniowej w Polsce



Hitlerowi odrzucić wszelkie pozory. I tylko taka jest różnica, dzieląca Niemcy Adolfa od Niemiec Wilhelma, różnica zapewne ważna, ale nie istotna.

Hitler zbudził prawdziwe Niemcy. Poszły za nim bez oporu, z entuzjazmem dla zaczynającego się realizować życia panów. Poszli za nim wszyscy, zwłaszcza młodzi, ale również starsi. Rudolf Hess wyraził najlepiej ten katechizm niemiecki w słowach Hitlerowi dedykowanych: „cokolwiek on robi, jest słuszne, konieczne, jest skuteczne. Führer ma najwidoczniej błogosławieństwo boskie”.

Źródłem powodzenia Hitlera wewnątrz Niemiec były także ogromne sukcesy zewnętrzne, osiągnięte drogą pokojową, bez rozlewu krwi. Polityka wielkich demokracji zachodnich, karmiąca Niemcy cudzym kosztem, a siebie złudzeniami, rozdała zjawisko, któremu na imię „Adolf Hitler”, do niebezpiecznych rozmiarów. Wielka jest cena, jaką trzeba było za to zapłacić, za tę krótkowzroczność, egoizm, za niezrozumienie Europy, niepodzielności jej pokoju i bezpieczeństwa. Rosnący stopniowo apetyt, maskowany dostręganymi okolicznościowo pięknymi słowami, nazywanym realizmem, a chowane pod suknem dyplomatycznym różne nieprzyjemne sprawy — jedynie szowinizmem partyjnym. W istocie Hitler, który miał wszelkie szanse, by być pierwszym prawdziwym realistą niemieckim — jego właśnie stać na to było, tak doskonale grał na duszach swego narodu — był Niemcem Niemców, szaleńcem imperialistów, największym z doktrynerów. Zgubiła go w tej wojnie własna doktryna polityczna, dyktująca plany sztabowi generalnemu.

Mussolini został rozstrzelany przez powstańców włoskich, zginął z rąk rodaków, którzy sami wydali wyrok śmierci.

Taka śmierć jest w pewnym stopniu symboliczna. Dyktator bowiem włoski nie miał w swym narodzie nigdy tak głębokiego oparcia, jak Hitler wśród Niemców, nie zdołał go też zmienić, ani wzbudzić tego wprost spontanicznego, bezwzględного poparcia, jakie w Niemczech towarzyszyło wszelkim posunięciom Führera. „Ja jestem Opatrznością” — mówił Hitler. Możliwy był w ubiegłym roku zamach generałów, usiłujących ratować Niemcy, niemożliwe jednak było postawienie Hitlera przed niemieckim plutonem egzekucyjnym. Przeciw tej „Opatrzności” nie mogło być jakiegokolwiek powstania.

Nie ma dziś Hitlera w Niemczech, ale świeży jego ślad prowadzi do każdego domu, do każdej rodziny niemieckiej. Po tym tropie idąc, zrozumimy dopiero pełnię zbudzonej przez Führera właściwej duszy niemieckiej, pojmemy pozostawiony przez niego upadek moralny narodu, który wychowywany przez wiele lat w kulcie siły, brutalności i gwałtu, i powołany do panowania nad innymi, teraz — uderzony własną bronią — nie wykazuje spodziewanego oporu, wypiera się swej „opatrności” i popełnionych zbrodni; wypiera się wszystkiego, i niemal płacze się. Nawet Goering opowiada dzisiaj bajeczki, oskarżając Führera.

— Adolf Hitler?... Dieser Lump! — odpowiada zapytywana dziś ludność cywilna w Niemczech.

Odpowiedź jest na poziomie tego komentarzyska moralnego, jakie dzięki Hitlerowi i samym Niemcom zajęło miejsce nie istniejącego dziś państwa niemieckiego. Jest to wyrok Niemców na siebie samych. Ten szubrawiec — „Dieser Lump” był przecież Niemcem.

Wybrany Niemcem.



Dobrane towarzystwo: Hindenburg, jego syn, Hitler, Goering



Żołnierz polski z r. 1939 — wyzwolony spod okupacji niemieckiej we Francji, „fotuje” pierwszy obiad polski

PIERWSZY DZIEŃ NA WOLNOŚCI



Polacy — Jeńcy z armii niemieckiej w obozie polskim

Na wolności — wśród zwolch

Doczekali się pięknego dnia



Dancerniacy Dierwszej Dywizji

Korespondencja w
R O M A N

Trzeba pożyć trochę pośród żołnierzy Polskiej 1. Dywizji Pancernej i porozmawiać z nimi, by zdać sobie sprawę z takich elementów ludzkich dywizji ta jest złożona. Są to pielgrzymi wolności, którzy w walce o wolność Kraju przewędrowali nieraz pół świata, bili się z tej samej strony barykady, przeżyli najbardziej nieprawdopodobne przygody.

Oto kilka typów oficerów, podoficerów szeregowych tej dywizji, którzy nie przeżyli więcej niż inni, lecz być może trafiają lepiej opowiadać i dlatego relacje ich wypadły plastyczniej. Takich, jak ni są w dywizji tysiące. Pisano już wiele o bojach dywizji, zbyt mało jednak o jej ludziach.

Porucznik O., z dragonów, brał udział w bitwach o Francję, w 1940 roku. W mniej szczęśliwy od wielu kolegów z brygady, nie mógł dostać się do Anglii. Po paru miesiącach przeszedł po raz pierwszy Pireneje, by przez Hiszpanię i Gibraltary, dotrzeć do wymarzonego celu. Schwytyany przez Hiszpanów, dostaje się do więzienia. Ucieka zeń i wraca do Francji, gdzie zamyka go Gestapo. Ucieka i stąd — znowu do Hiszpanii. Aresztowany ponownie i zwolniony, wkrótce wpada raz jeszcze w ręce policji hiszpańskiej. Znowu więzienie i odstawienie do Francji, gdzie po raz drugi otacza go opieka Gestapo. Uratowany jakimś cudownym sposobem, przedostaje się do Hiszpanii i po raz trzeci zostaje schwytyany, wydostaje się raz jeszcze i wraca do Francji, by przejść Pireneje po raz czwarty i dobrać wreszcie do Gibraltaru, a stąd do Anglii.

Jan R., dragon z tego samego pułku, pochodzi z Polski zachodniej. Wcielony siłą do Wehrmachtu, brał udział w bitwie o Stalingrad. Ranny, bił się następnie, wciąż w mundurze niemieckim, w Tunisie, na Sycylii i we Włoszech. Podczas bitwy o Salerno udało mu się przedostać do Sprzymierzonych. Przewieziony do Anglii, zaciągnął się tam do naszych szeregów. Wraz z Dywizją Pancerną wylądował w Normandii i wziął udział w kampanii francuskiej, belgijskiej i holenderskiej.

St. dragon Franciszek K. został również wzięty siłą do armii niemieckiej. Bił się pod Stalingradem i pod Charkowem. Przeszedł do szeregów sojuszników w Normandii. St. dragon Kazimierz B. wcielony do niemieckiej marynarki wojennej, uczestniczył w wielu wyprawach korsar-

skich, uciekając przy pierwszej dogodnej sposobności. Dragon Władysław K. przybył do naszej armii z Argentyny, gdzie trzynastcie lat pracował jako elektrotechnik na wielkiej haciendzie. Do Anglii przybył w ramach dwunastego z rzędu transportu polskich ochotników z Argentyny. Przyjaciół jego, sierż. Michał C. przeżył Rosję, Iran, Irak, Palestynę, Egipt i całą tak dobrze znaną żołnierzom 2 Korpusu trasę. Takich, jak on, jest w dywizji bardzo wielu. Strzelec Henryk T. ma 19 lat i jest wychowankiem Szkoły Ju-naków w Palestynie.

Porucznik Andrzej M. z Warszawy (pułk strzelców konnych) przesłużył trzynastcie lat w Legii Cudzoziemskiej. W 1940 roku bił się we Francji. Wzięty do niewoli przez Niemców, uciekł w 1943 r. Po niezliczonych przygodach zdołał dostać się do Anglii. Wcielony do Dywizji Pancernej, odbył w jej szeregach kampanię 1944—45 roku, odznaczony został Virtuti Militari i dwukrotnie Krzyżem Walecznych. Podczas bitwy nad Mozą stracił jedno oko. Po nałożeniu powierzchownego opatrunku, nie dał się ewakuować i natychmiast powrócił do swego szwadronu, by „przekonać się”, czy może, z jednym okiem, bić się nadal.

Strzelec Józef M., z tego samego pułku, aresztowany został w Maroku przez policję Vichy. Umieszczono go w obozie koncentracyjnym w Saïda, skąd uciekł, lecz został schwytyany. Przewieziono go na Saharę, gdzie przez rok pracował przy budowie kolei transsaharyjskiej. Sierżant Jan S., z tego pułku ułanów, padł również ofiarą vichystowskich szpicli. Aresztowany w Fezie, wtrącony został do więzienia w Meknes. Przewieziony do obozu w Kasbah Tadla, zachorował tam ciężko i umieszczony został w szpitalu. Uciekł stamtąd, lecz schwytyano go i zesłano do Colomb-Bechar (Sahara), gdzie omal nie zakałowano go na śmierć przy budowie kolei transsaharyjskiej. Zwolniony został po wylądowaniu Amerykanów.

Historij takich są tysiące. Są jednak w dywizji inne jeszcze „okazy”, nie polskie. Spotkałem więc w dywizji żonę słynnego lenora wiedeńskiego, Ryszarda Taubera. Nosi battle-dress, naszywki z napisem „Poland”, znak dywizji (skrzydła husarskie) i czarny beret, w którym jest jej bardzo do twarzy. Pani Tauber zajmuje się naszymi rannymi w szpitalach. Polski mundur nosi też młodzieńki Irlandczyk,



Jeńcy niemieccy, jest ich coraz więcej...



Uciekają z płonących domów

Herbert Au., bliski krewny słynnego lorda Carnarvon'a (tego od Tutankhamena) i lorda Cranborne. Przez 9 miesięcy służył jako szeregowiec w jednym z pułków ułanów, gdzie przeszedł kurs spadochronowy, obecnie jest podporucznikiem. W dywizji jest też młoda Belgijka, Simone R., pracująca w Polskiej YMCA. Skąd się tutaj wzięła?

Było to jesienią r. ub. pod Roulers, w pełnym ogniu bitwy. Ody Dywizja zbliżała się do miasta, podjechały nagle na rowerach dwie młode dziewczyny. Przedstawiły się generałowi Maczkowi, jako Simone B. i jej siostra, obie z Roulers i oświadczyły, że chcą ostrzec polskich żołnierzy, iż w mieście są jeszcze dość poważne siły niemieckie. Generał Maczek zrazu zdziwiony, roześmiał się i odparł żartem: „Wszystko to jest bardzo piękne i ciekawe. Dla mnie jednak najważniejsze byłoby dowiedzieć się dokładnie, jak jest dyspozycyjny niemiecki na głównej ulicy Roulers”.

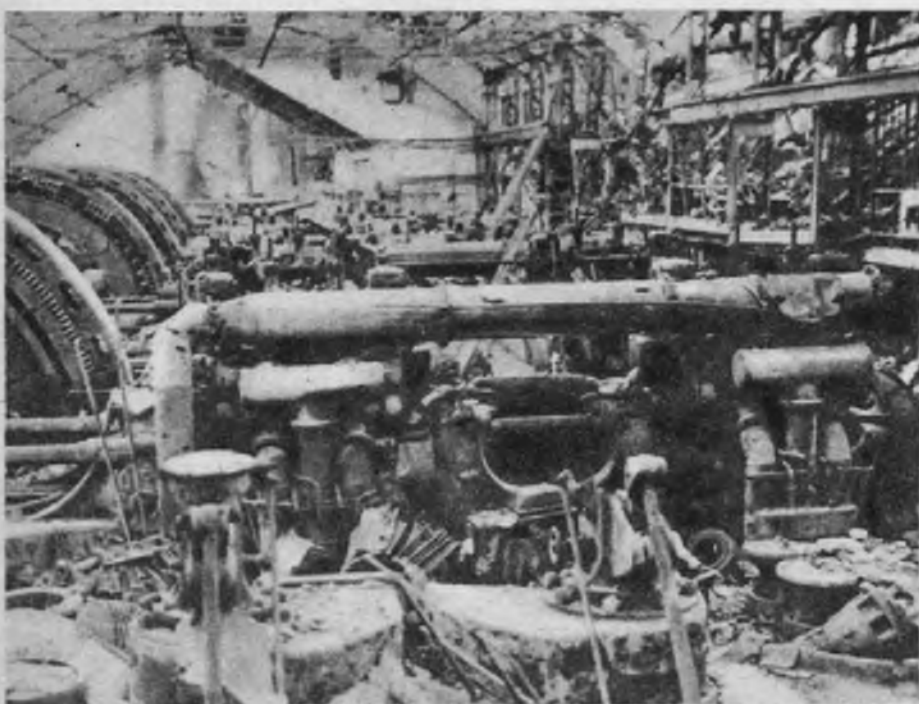
Bez słowa, Simone B. wsiadła na rower, pod ogniem nieprzyjaciela ruszyła z powrotem ku miastu. Po niespełna godzinie zjawiała się znowu, przywożąc szczegółowe wiadomości o rozmieszczeniu Niemców. Gdy generał Maczek zaczął jej dziękować, odparła krótko: „Panie generale, nie uczyniłam tego dla pana, lecz dla Belgii”.

W parę dni później, w Roulers, w obecności tysięcy, szalejących z entuzjazmem Belgów, dowódca 1. Dywizji Pancernej przypiął do piersi Simony B. polski Krzyż Walecznych. Odtąd młoda Belgijka nie rozstała się już z Dywizją.

Oto jaka jest 1. Polska Dywizja Pancernej. Nic już chyba nie potrafi zdziwić, ani wzruszyć tych ludzi. Nic, poza jedną tylko rzeczą: — gdyby ujrzeć mogli znowu Polskę. Po to walczyli i ginęli, z tą myślą przewędrowali pół świata. Ale o tym nie mówią prawie nigdy. Zaciskają zęby i walczą.

I walczyć będą do końca.

Zbombardowana fabryka w Zagłębiu Ruhry



Na gruzach Zagłębia Ruhry



Katedra w Bredzie

Nareszcie! Po wielu trudnościach jesteśmy w drodze do Niemiec. Jest nas czterech, w prasowym jecie: redaktor „Dziennika Żołnierza” 1. Dywizji Pancernej, ppor. W., „naczelný dyrektor” drukarni tego szacownego czasopisma (czytaj: zecer), kierowca redakcyjny i ja. Chcemy dobrnąć jutro do Zagłębia Ruhry, gdzie bitwa jeszcze się toczy. Jedziemy z Nijmegen do granicy Rzeszy piaszczystą drogą, wśród lasu. Kierunek: Kleve, pierwsze miasto niemieckie. Dokoła, żywej duszy. Dopiero tablica uświadamia nas, że jesteśmy już w Rzeszy. Czytamy: „This is Germany. You are warned”. („To są Niemcy. Miej się na baczności”). Jedziemy wciąż przez gęsty las. Wreszcie dojeżdżamy do Kleve. Niegdyś było to spore miasto, dziś nie pozostało zeń prawie nic. Wzdłuż pustych ulic stoją poczerwieniałe szkielety spalonych domów. Porywisty wiatr podnosi tumany kurzu i jakieś pomięte papiery. Podnoszę okólnik partyjny ze swastyką i „Heil Hitler”. Z Kleve jedziemy w kierunku Renu. Wzdłuż trasy, bez przerwy, posuwa się w stronę rzeki nieprzerwana kolumna czołgów, ciężarówek, dział i amfibij. W Kalkar, kilka domów ocalało i widać, po

Artyleryzta 1. Dywizji piasze list na ilut



Dał odpalić...



raz pierwszy, trochę niemieckich cywilów na ulicach. Niemcy robią takie wrażenie, jak gdyby chcieli zająć swymi osobami jak najmniej miejsca i najmniej rzucać się w oczy. Miasto jest pełne żołnierzy, ciężarówek i czołgów. Town Major stworzył już swe biuro i urzęduje wśród ruin. Zaraz za Kalkar przejeżdżamy Ren na moście „Waterloo”. Wyjeżdżamy na drugi brzeg w pobliżu Rees. Tutaj był północny kraniec odcinka, na którym Montgomery sforsonał Ren. Rees jest doszczętnie zburzona. Poprzez ulice, zawalone gruzami i dobytkiem mieszkańców, suną kolumny czołgów i dział. Garska Niemców, po większej części kobiet, starców i dzieci, przygląda im się ze zdumieniem. „Nigdy nie spodziewaliśmy się ujrzeć takiej potęgi”, zwierzyła mi się jedna z kobiet.

Po pół godzinie jesteśmy w Wesel nad Renem, centralnym punkcie bitwy, jaką Montgomery stoczyć musiał o przejście rzeki. Wesel jeszcze płonie. Wiatry przerzucają płomienie z jednego budynku na drugi. Nikt nie próbuje gasić tych pożarów. Tuż przed nami czteropiętrowy dom narażony płonie jak łuczywo. Na trzecim piętrze, w pokojach, które doskonale widać przez dziurę po zwałonej ścianie, fotele, dywany, firanki, stoły i inne meble palą się jasnym płomieniem. Po chwili to, co pozostało jeszcze z domu, wali się w gruzy. Ze wszystkich stron słychać detonacje. To saperzy wysadzają w powietrze ruiny budynków.

Spędzamy noc w szpitalu, ad hoc urządzonym przez władze wojskowe i pustym jeszcze. Dom trzyma się nieźle, lecz brak w nim szyb i ram okiennych, o świetle i wodzie ani mowy. Blask pożarów przenikał do pokoju przez okna, wybuchy nie ustawały ani na chwilę, na szosie, czołgi przejeżdżały z piekielnym hałasem. Dokoła, wśród mroku nocy, III Rzesza waliła się w gruzy, pośród prawdziwego Zmierzchu Bogów.

Nazajutrz o świcie ruszamy dalej w kierunku Zagłębia Ruhry, które wprawdzie jest otoczone przez Sprzymierzonych, jednak wielkie jego ośrodki, Essen, Dortmund, Duisburg, pozostają jeszcze w rękach Niemców. Przejeżdżamy przez Dinslaken i Hamborn. Wszędzie te same straszliwe obrazy zniszczenia. Nawet w najmniejszych miasteczkach, na dziesięć domostw, dziewięć jest zburzonych. Bardzo rzadko spotyka się człowieka. Oszałałe ze strachu było błąkać się po polach bez żadnego nadzoru. Na ścianach domów widać jeszcze odezwy partii narodowo-socjalistycznej, wzywające mieszkańców, by nieśli krajowi pomoc i zachowali żelazną dyscyplinę. „Przyszłość Rzeszy zależy od waszego zachowania się”, głoszą obywatelom. Hamborn stanowi jedno z wielkich przedmieść Duisburga. W języku urzędowym nazywał się „Duisburg-Hamborn”. Tędy przebiega północno-zachodnia granica olbrzymiego zagłębia przemysłowego, zwanego Zagłębiem Ruhry. Począwszy od Hamborn, w kierunku południowym i wschodnim, nie ma już końca fabrykom i kominom. Liczne wielkie miasta i osiedla fabryczne stanowią tu jedną całość, tak, że trudno zorientować się, gdzie kończy się jedno i zaczyna drugie. Hamborn ucierpiało mniej, niż Wesel lub Rees. Środek miasta leży wprawdzie w gruzach, ale ocalało przynajmniej kilka dzielnic willowych. Główne ulice miasta robią jednak wstrząsające wrażenie. Przy ulicach „Adolf-Hitler-Strasse” i „Horst-Wessel-Strasse” nie ma ani jednego całego domu. Szyldy z tymi nazwami przetrwały, solidnie przytwierdzone do resztek ścian, jednak poza nimi nic nie ocalało. W ratuszu rozmieściły się biura „Wojskowego Zarządu Niemiec” („Military Government of Germany”).

Na przyległym placu czarna tablica pokryta jest odezwy i rozporządzeniami Zarządu Wojskowego. Wszystkie afisze ogłoszone są w dwóch językach: angielskim u góry, i niemieckim, na dole. Rozporządzenia te regulują warunki nowego życia, jakie Niemcom przysiężono teraz wieść pod sojuszniczą okupacją. Nie wolno im wychodzić z domów między szóstą wieczorem i siódmą rano. Niektóre części miasta, zarezerwowane dla wojska, zabronione są w ogóle dla cywilów. Winni natychmiast oddać wszelką broń i aparaty radiowe. Członkowie partii narodowo-socjalistycznej, SS, SA, Gestapo, instruktorzy „Hitlerjugend” i

„Bund Deutscher Maedel”, winni stawić się niezwłocznie przed władzami sojuszniczymi. Kary, przewidziane za wykroczenia są surowe. Oromadka Niemców, mężczyzn i kobiet, skupiła się przy tablicy i czyta świeżo rozklejone afisze. Twarze ich nie mają żadnego wyrazu. Nikt nie mówi, każdy boi się drugiego. Jak nas informuje amerykański „oficer polityczny” w Hambornie, pozostało około 30 tysięcy osób z ludności, wynoszącej normalnie 80 tysięcy.

A potem był na naszej drodze Ruhron i Duisburg. Jak je opisać?... Miałem przed oczyma wizję Apokalipsy. W najściślejszym tego słowa znaczeniu, Duisburg, ten największy europejski port śródlądowy, nie istnieje. Przeszło godzinę jeździliśmy po jego fabrycznych dzielnicach w poszukiwaniu choćby jednego całego domu lub fabryki. Nie znaleźliśmy! Roześciągł się przed nami straszliwy cmentarz, porwany kraterami od wybuchów bomb i pocisków.

Pośród tragicznych rumowisk spotykamy się czasem ludzi, Niemców. Nie są oni liczni, lecz istnieją, pomimo wszystko. Gdzie żyją? W piwnicach. Przywykli zresztą już tak bardzo do tego trybu życia, że trudno byłoby im zapewne przystosować się z powrotem do innych warunków. Rozmawiałem z Niemką, która wraz z całą rodziną zamieszkuje piwnicę od ośmiu miesięcy. Nie są to już ludzie cywilizowani, a raczej troglodoci. Niektórzy z nich chodzą po ulicach jak błędni i czynią takie wrażenie, jak gdyby po wielu miesiącach całkowitego mroku, wypuszczono ich po raz pierwszy na światło dzienne. Nie potrafili odpowiedzieć na najprostsze pytania, zadawane po niemiecku. Inni za to mówią i zalewają słuchacza potokami słów. Już teraz robią ze siebie „dobrych Niemców”. Oczywiście, nikt nigdy nie należał do partii. Nie ma w ogóle „nazich” między Niemcami, którzy pozostali w swych siedzibach... Hitlera nazywają wszyscy „Dümmen Lumpen...” (ten szubrawiec). Żaden z nich nie cieszył się z dawniejszych zwycięstw niemieckich... Każdy ma za to w kieszeni długą listę jeńców wojennych i deportowanych, którym wyświadczył „cenne usługi”, a nieraz „uratował życie”. Czytają imiona i nazwiska tych „świadców odciążających”, ich narodowość i stopnie wojskowe. Ale gdy tylko wejdą do zburzonych domów i rozejrzeć się po mieszkaniach, gdzie coś niecoś ocalało jeszcze, wszędzie widać pełno portretów i bustów „Führera”, dyplomów i odznak partyjnych na ścianach, książek i broszur narodowo-socjalistycznych w bibliotekach. Zawsze te same, odwieczne Niemcy.

Wszedłem do piwnicy, w której gnieździło się od miesięcy siedemnaście osób. Nie mogłem powstrzymać się i rzekłem do nich: „Oto wasz Lebensraum”.

„Wir haben das nicht gewollt” (myśmy nie chcieli tego), odparła mi jakaś Niemka. Pewnie, że nie chcieli... Takiej wojny, jak ta, którą tu widać dokoła, nie chcieli na pewno. W 1940 roku zapowiadało się inaczej...

Chwila spokoju po walce



NA LINII 2 KORPUSU

Napisał A. G. POLLARD

Kapitan A. G. Pollard towarzyszył oddziałom 2 Korpusu w ostatniej fazie ofensywy Sprzymierzonych we Włoszech

Dowódca 8 Armii przesłał Dowódcy 2 Korpusu wyrazy uznania za wybitny udział Polaków w ostatniej ofensywie w Italii.

Nie po raz pierwszy walki oddziałów polskich spotykają się zarówno z uznaniem, jak i z podziwem dowódców wojsk sprzymierzonych, tym razem jednak podziwiała przypadła w udziale m. in. nowo utworzonej Grupie „RUD” i fakt ten ma swoją odrębną wymowę.

Grupa „RUD”, nazwana tak od nazwiska swego dowódcy, została stworzona z połączenia kilku brygad, wydzielonych z dywizji Karpackiej i Kresowej.

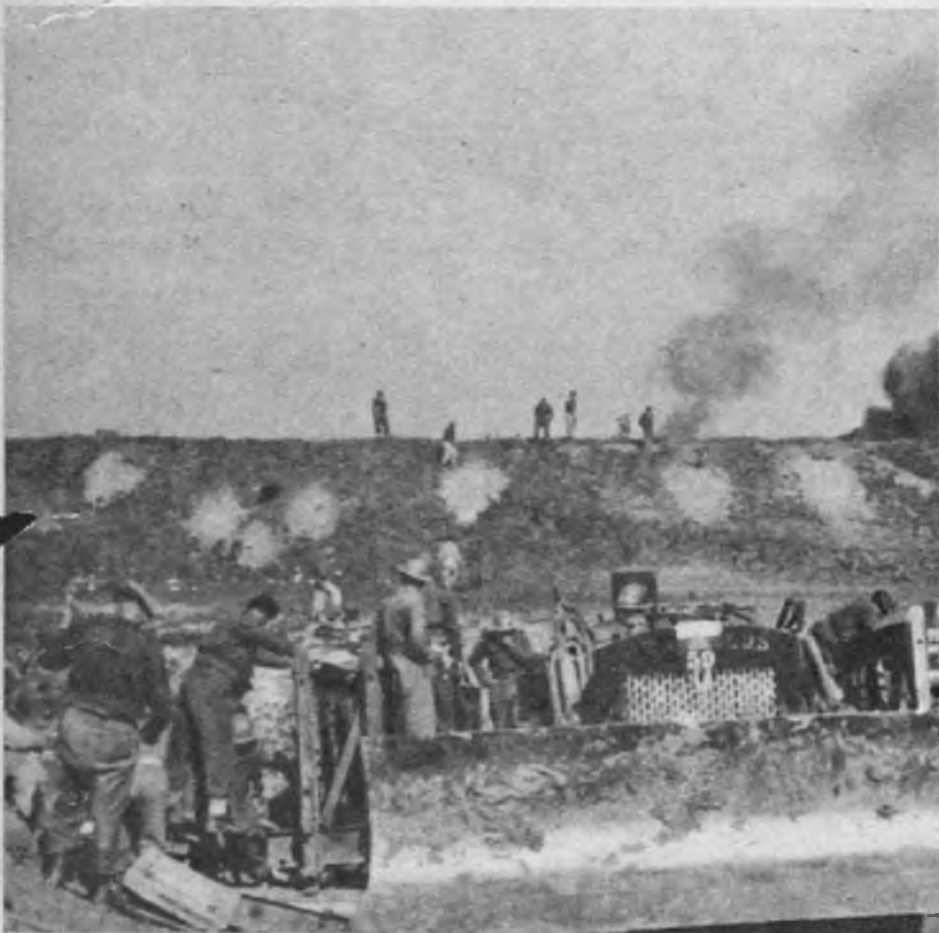
Specjalny charakter nadaje temu oddziałowi fakt, że większość jego żołnierzy składa się z jeńców wojennych, młodych chłopców, którzy stosunkowo do

niedawna jeszcze stanowili najbardziej niepewny, bo służący pod przymusem, element armii niemieckiej. Uwolnieni, przeszli odpowiednie przeszkolenie wojskowe i jakkolwiek nie leżało w planach dowództwa użycie ich w akcji, warunki tak się ułożyły, że oddział wszedł do walki w okresie zdobywania Bolonii. Chęć zemsty i odwetu za cierpienia, doznane pod okupacją i za konieczność noszenia znienawidzonego munduru żołnierzy niemieckich, była silnym bodźcem do walki, w wyniku której zdobycie trzech miast Castel Bolognese, Imola i San Pietro okryło sławą żołnierzy Grupy „RUD”.

W łecinie we Włoszech nie jest już chłodno, dla zmęczonych żołnierzy do-

Tacy jak ten oswobodzili Bolonię!

Polaki buldożer w czasie walki 2 Korpusu o Bolonię



Nasz strzelec wyborowy — na stanowisku



mem staje się każde m. p., przeznaczone na krótki nawet odpoczynek, ale w akcji nieraz bywa głodno, tymbardziej, że oczyszczanie okolic z pozostałych grup żołnierzy niemieckich odbywa się szybko i bez tracenia czasu.

Wyjątkowo miła zatem przygoda spotkała patrol piechoty na odcinku polskim, przetrzasujący wieś w poszukiwaniu żołnierzy niemieckich z rozbitego poprzednio oddziału. Patrol zbliżał się do domu, w którym według informacji tkwiła jeszcze niemiecka załoga. Po wymianie powitalnych strzałów z karabinów maszynowych, Polacy wtargnęli do wnętrza i w walce wręcz obezwładnili Niemców, biorąc ich wszystkich do niewoli.

Nieprzewidzianym dalszym punktem akcji okazał się zastawiony na stole obiad, przygotowany przez Niemców i nie zjedzony. Patrol ruszył na tę pozycję z niemiłą brawurą i zdobył ją, jako zasłużoną nagrodę za trudy. Miejmy nadzieję, że podział „łupów” był sprawiedliwy.

Niemcy są narodem morderców i bandytów, i chociaż zwyciężeni, szybko przestają się w potulnych, zdawałoby się zadowolonych z losu jeńców, tej cechy zwierzęcego okrucieństwa nie pozbywają się nigdy.

Nowym przykładem tego znanego faktu było bestialskie potraktowanie dwóch Polaków, żołnierzy Dywizji Kresowej, wziętych do niewoli pod San Lorenzo. Ciała ich, strasznie zmasakrowane, znaleziono następnego dnia. Twarze wykazywały ślady bicia pałkami, zamordowano ich strzałami w tył głowy.

Polacy, którzy tego samego dnia wzięli licznych jeńców i którzy traktują ich według przepisów prawa międzynarodowego, zostawiają zemstę za zamordowanych kolegów do czasu walki w otwartym polu. Pastwić się nad bezbronnym umie tylko żołnierz niemiecki.

„OTWARTE MIASTO”

Polski saper rozbraja miny



Stoimy przed Imolą. Do miasta nie więcej jak trzy kilometry. Miasto otwarte. Tak przynajmniej twierdzą wzięci jeńcy. Oszczędza je więc i lotnictwo i artyleria. Będziemy tam jeszcze dziś, najpóźniej, w nocy.

„Miasto otwarte” — twierdzi również wzięty właśnie do niewoli spadochroniarz. Ma może z 18 lat. Badamy go w szopie, bo na podwórko sięgają strzały sniperów, a nasi „wyborowi” ani rusz nie mogą ich wytopić w bujnej zieleni.

„Dowództwo naszych oddziałów? Przeszkody przeciwzołgowe? Pola minowe?”. „Miasto otwarte. Żadnych umocnień. Nie będzie broni...”

W tej chwili z kierunku tego „otwartego miasta” dostajemy silny ogień z „Espi”. Jeniec tuli się do ściany i całkiem innym głosem bełkoce, że... nic nie wie... nic...

W Imoli nie byliśmy tego wieczoru. Ani nocą. Zdobyto ją dopiero wieczorem następnego i to manewrem oskrzydla-
jącym.

Przed wojną liczyło 40 tysięcy mieszkańców. Teraz ponad 60. Wiadomo — uciekinierzy z okolicznych terenów. Dziwnie wygląda Imola. Niemcy z centrum miasta zrobili coś w rodzaju ghetta. Zamknęli wyloty ulic wałami, drutem kolczastym i minami. Przedmieścia natomiast tego „otwartego miasta” zamieniono w prawdziwe forty. Głębokie rowy przeciwzołgowe, zapory z szyn kolejowych w cztery rzędy wkopanych, strzelnice broni maszynowej wykute w murach różnych budynków, stanowiska „offenrohrów”... Ogromny szkolny budynek — koszary niemieckie — przerobiono w cytadelę. Elektrownię i wodociąg wysadzili Niemcy jeszcze we wrześniu! Ciężkie życie musiało mieć „ghetto” Imoli! Teraz jednak wróg wolał wycofać się, unikając odcięcia.

Już o świcie następnego dnia ożywia się miasto. Pełne ulice. Witają kwiatami i okrzykami na cześć „liberatori”. Łazik generała R. nie może przepchać się przez rozentuzjzmowany tłum, zasypany kwiatami, oblepiony signorinami i bambinami. Na murach miasta pojawiają się plakaty powitalne: „Niech żyją oswobodziciele”, „Niech żyje wojsko polskie”, „Niech żyje Polska niepodległa”, „Niech żyje Naczelny Wódz, gen. Anders”, „Niech żyje wolna Italia”, „Niech żyją alianci”, „Niech żyją partyzanci”... Od partyzantów zaroiło się w mieście. Z zaciekawieniem przyglądamy się im, bo jakoś na froncie nie widzieliśmy ich. Chodzą obwieszeni bronią, wiwatują i wyglądają bardzo bojowo.

Obok plakatów powitalnych i flag wło-

skich, angielskich, amerykańskich i polskich, wiszą jeszcze plakaty i ogłoszenia niemieckie i faszystowskie. „Liberatori” przedstawieni są tu jako murzyni z oblesnie wywinętymi wargami, kałmuki o płaskich mongolskich twarzach, dżicz niszcząca wszystko na swej drodze. Bardziej jednak wymownymi dla ludności miejscowej musiały być rozlepione gęsto lakoniczne powiadomienia:

„Za wzięcie drzewa z tego budynku — kara śmierci”;

„Za usiłowanie przejścia linii frontowej — kara śmierci”;

„Za wejście w niedozwolony rejon — kara śmierci”;

„Za słuchanie audycji radiowych wroga — kara śmierci”.

Za... za wiele, wiele rzeczy — jedyna kara — kara śmierci.

I wymowne uzupełnienie: „nie licz na litość”.

Litości rzeczywiście nie było. Nato-
miast było bezmyślne bestialstwo.

Bogu ducha winnego starego dozorcę pustego więzienia, wraz z całą rodziną, zapędzili Niemcy, przed opuszczeniem miasta, w narożny budynek i kazali czekać. Wyskoczył innym wyjściem. Po chwili budynek został wysadzony.

Pod miastem wisi, powieszona na drucie telefonicznym, kobieta. Podobno bro-
niła swojej krowy... Podobno... zresztą — kto może powiedzieć, za co stosuje wróg tę „jedyną” karę? Uprzedził tylko, że na litość nie należy liczyć...

Na murze na wpół wysadzonego budynku ślady kul i plamy krwi. Obok studnia z zawaloną betonową kopułką. Z tej studni, przy mnie, wyciągnięto 18 zmasakrowanych zwłok mężczyzn. Gwiffo. Może ich było więcej. Miałem już dość i nie czekałem na koniec poszukiwań. Tak zmasakrowanych zwłok jeszcze nie widziałem. Musiano torturować i dostrze-
lić serią „Schmeisera”, tuż przed wyjściem z tego „otwartego” miasta, trupy bowiem są jeszcze zupełnie świeże.

Jaki był powód tej masakry? Ktoś to wie? Rozpoznać zwłoki trudno. Doku-
menty kaci zniszczyli. Wysadzając kopułkę nad studnią chcieli ukryć ślady zbrodni.

Może padło na nich podejrzenie, że chcą przejść linię frontu, może słuchali radia, może po prostu wzięli drzewo z tego opuszczonego budynku, może wyszli z „ghetta”, miasta bez wody, wła-
śnie po wodę do tej studni...

Wszystko mogło być, a dwujęzyczne lakoniczne ogłoszenia powiadają krótko: „kara śmierci i niech nikt nie liczy na litość”...

W „otwartym mieście” Imoli...

Wiktor Ostrowski

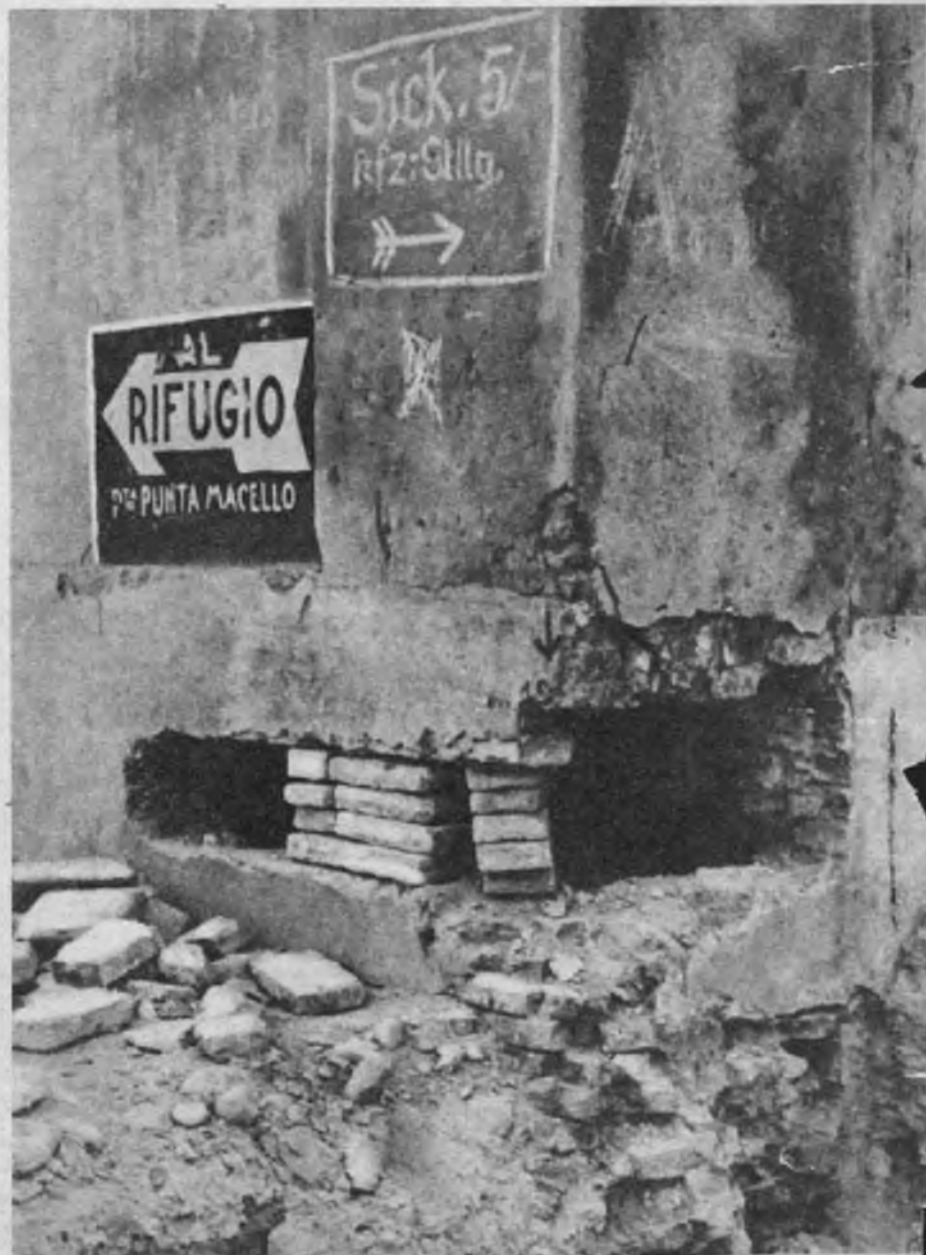
Sanhariusze na karlerze w czasie walk o Bolonię

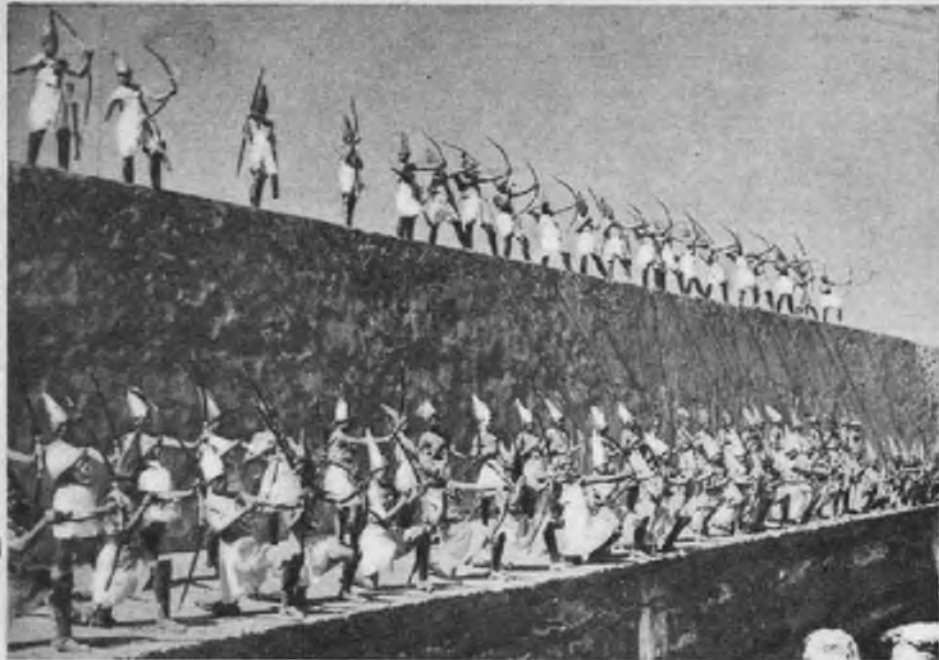


Afisz niemiecki grożący karą śmierci za zabranie kawałka drzewa

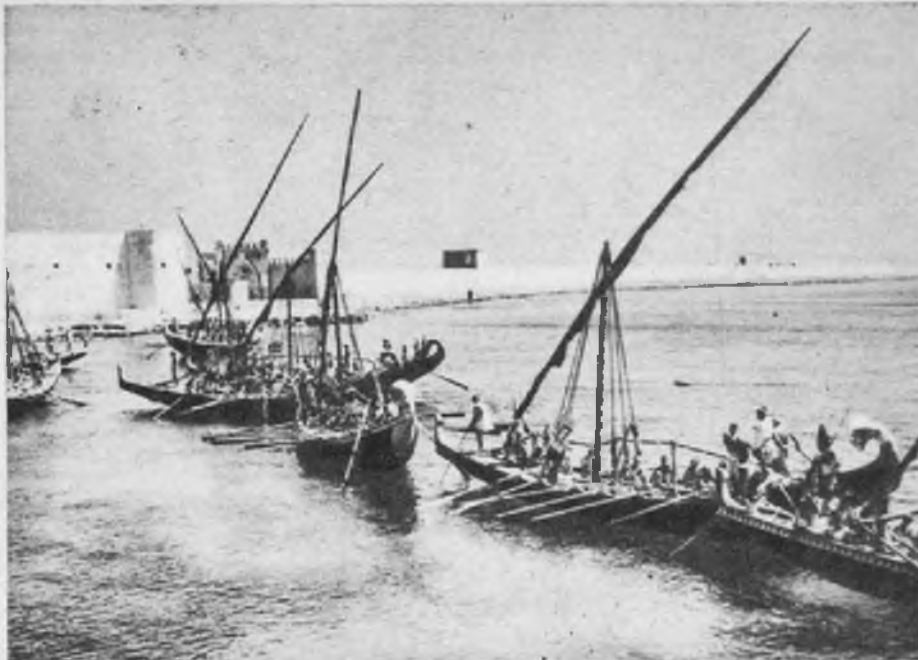


Otwory na niemieckie ckm'y w jednym z domów „otwartego miasta”





Oddziały łuczniczków na murach aleksandryjskiej cytadeli



Flota wojenna królowej Kleopatry u wybrzeży Aleksandrii

W OBOZIE JULIUSZA CEZARA

POWRÓT HISTORII — BITWA O ALEKSANDRIĘ — SZTUKA I ŻYCIE — SPOTKANIE Z CEZAREM — NOS KLEOPATRY — CZTERY KILOMETRY FILMU — SFINKS Z LONDYNU — CZYTELNIK I DZIEWCZYNIKA

Kawiarzani politycy nad filiżanką pół żurek robią zazwyczaj bardzo mądre mniiny i oświadczają:

— Historia lubi się powtarzać! Jest to sentencja równie prawdziwa, jak i stara. Tymczasem ostatnio historia nie tylko powtarza się, lecz i odwraca się, staje na głowie, fika koziołki i wyczynia czary — szereg innych przeraźliwszych zjawisk.

Patrioci włoscy rozstrzelują swego Duce, Hitler ginie w płomieniach oblężonego Berlina, sowieccy oficerowie noszą carskie epolety, w zakładach chemicznych wyrabia się środki wybuchowe, które piorunem porażą tysiące ludzi, a jednocześnie w takich samych laboratoriach wytwarza się penicilinę, która piorunem wyleczy owe tysiące porażonych, Kleopatra, królowa Nilu, zapala papierosa amerykańską zapalniczką, a rzymskie przed wieków legiony Juliusza Cezara idą dziś tam, gdzie przed kilku laty stał obozem Karpacka Brygada. Pod Aleksandrią bowiem nagrywano niedawno realistyczne sceny do historycznego filmu „Cezar i Kleopatra”.

Do walk, jakie stoczono na pustyni i nad morzem, rzuconych zostało około tysiąc żołnierzy.

Centurie Cezara, który podbił Aleksandrię, już od wczesnego rana stoją w szyku na kamiennym nadbrzeżu w oczekiwaniu starcia z egipskim wojskiem. Stalowe puklerze, ostrza włóczni, olbrzy-

mie tarcze z orłami lśnią w oddali, wspaniałe płaszcze krwawią się purpurą, na srebrnych hełmach powiewają barwne pióropusze. Nieprzyjaciela jednak dotąd nie widać. Nie gotów bowiem jeszcze do gry wojennej, ani do gry filmowej.

Wreszcie nadchodzi. W pobliżu magazynu archaicznych mundurów i olbrzymiego arsenału łuków, strzał, kołczanów, dzirytów, włóczni i maczug, pod wodzą oficera kawalerii wkraczają czwórkami oddziały współczesnych egipskich żoł-

nierzy. Na dany rozkaz zatrzymują się, szybko zrzucają swe stare mundury nowoczesne i wdziewają nowe mundury starożytne, by w miganiu oka z armii króla Faruka z łatwością przedzierzgnąć się w pułki królowej Kleopatry. Bo przecież żołnierze ci, którzy za chwilę będą w tych strojach walczyli, to bynajmniej nie zapłaćeni filmowi statyści, wysmarowani szminką i ucharakteryzowani na sztuczną egzotykę, lecz najbardziej autentyczni egipscy wojownicy, którzy po przebraniu się w antyczne stroje, stają się swymi własnymi pradiadkami.

I nagle sztuka staje się rzeczywistością, fikcja przestaje być fikcją, przeradzając się w tętniące prawdą realne życie. Koło Historii odkręca się wstecz, jak ster w rękach marynarza, czas zmienia kurs o sto osiemdziesiąt stopni i poczyną żeglować w odwrotnym kierunku. O podnóża warownych murów białej cytadeli aleksandryjskiej, tak samo jak przed laty uderza z szumem szmaragdowe Morze Śródziemne, a w błękitie nieba, te same co dawniej pokrzykują przerażone ptaki, gdy po złotym piasku pustyni biegną do walki smagli, brunatni, o kędzierzawych czuprynach, płonących oczach i białych zębach bojowi synowie Egiptu. Za chwilę od strony morza nadpływają łodzie wojenne, olbrzymie pirogi z szesnastu półnagimi wiosłarzami, zbrojne w gotowych do bitwy łuczniczków i oszczepników. Płyną pod pełnym wiatrem, schwytanym w rozdeptę płótna żagli zielonych, niebieskich, żółtych i karmazynowych. Wywiązuje się zażarta walka z broniącymi wstępu na ląd wojskami, wyposażonymi w miecze i dziryty. Świszczą w powietrzu strzały spuszczone z malowniczych łuków, z trzaskiem łamią się drzewce oszczepów. Roznamiętnieni żołnierze pokrzykują w bojowym zapale. Niejeden ze pchnięty wpada do wody, inny z poza zastony potężnej tarczy, płazem miecza karczuje sobie drogę przez szeregi wroga. To już nie fantazja, nie film, migający na ekranie, nie scena teatralna w malowanych dekoracjach ze sztucznymi makietami, lecz wskrzeszona prawda. Może nie najwierniejsze, lecz z pewnością najbardziej dosłowne powtórzenie Historii.

Nie trzeba być zbytnim fantastą, by patrząc bez przerwy przez kilka godzin na tych ludzi, na ich najbardziej naturalne zachowanie, na ich ruchy i gesty, ubiory, zbroje i emblematy na tle niezmiennego błękitu egipskiego nieba, zapomnieć o setkach lat, jakie rozdzielili, czy też połączyły tamte i obecne czasy.

Wreszcie wróg zostaje pokonany. Wojsko może odpocząć. Żołnierze rozkładają się biwakami, zdejmują lśniące puklerze, odkładają broń i rażno zabierają się do jedzenia. Siedząc na piasku na skrzyżowanych nogach, rozdierają palcami białe placki z pszennej maki, zawijają w nie czerwone pomidory i seledynową sałatę po czym maczają w brązowym tłuszczyku baranin z małych miseczek i zjadają z niekłamany apetytem. Lecz ta barwna scena, to już nie epizod kolorowego filmu, nakręcanego przez londyńskiego reżysera, lecz przerwa w zdjęciach. Odpoczynek przed dalszymi walkami, czy następnym nakręcaniem zdjęć aparatem, o którym nie myślą, gdyż go nawet nie dostrzegają. Aparatura bowiem wraz z całym zespołem operatorów, fotografów,



Na białym rumaku zajeżdża Juliusz Cezar do fotografii

Adiutant Juliusza Cezara robi „przyjemny wyraz twarzy”



inspicjentów i techników oddalona jest od nich o kilkaset metrów i zmontowana na krańcu daleko wybiegającego w morze mostu, wojskami zaś dowodzi i kieruje walkami egipski kapitan, który stojąc wśród grupy asystentów wydaje wojenne rozkazy przez megafon.

W zatoce kolebie się na kotwicy złotoczerwony okręt Cezara, wspaniała galeria błyszcząca grzebieniem sześćdziesięciu wiosł. Za chwilę zjawi się tu Cezar, by wstąpić na pokład. Wszyscy oczekują go niecierpliwie. Myślę, jak go powitam, jeśli znajdzie się w jego pobliżu. Waham się, czy powiedzieć: „Ave Caesar”, czy „Salve”, czy też skorzystać z rzadkiej okazji i poprosić o autorski egzemplarz jego książki „Commentarii de bello Gallico”. Jednakże, ponieważ nie pamiętam dokładnie, czy dzieło to Cezar już napisał, czy dopiero zamierza je rozpocząć po wyprawie na Egipt, wolę nie wrywać się z moją ignorancją, jaka by tylko mogła zrazić do mnie Boskiego, który zwykł popierać ludzi wiedzy, mając wrodzony wstręt do nieuków.

Oto nadchodzi. Odziany wspaniale, w wysoko sznurowanych sandałach, w świetnym stroju, z krótkim mieczykiem u boku i wieńcem na skroniach.

Urzeczony prawdziwością zaklętej legendy, już... już wznoszę do góry prawe ramię w rzymskim pozdrowieniu, gdy czar pryska. Boski Cezar podchodząc do stojącego za mną egipskiego oficera, uśmiecha się i wita go w rodzimej arabszczyźnie.

Ciemno robi mi się przed oczami. Pijana Historia staje dęba, panicznym galopem ucieka w pustynię i uderzając łbem w barierę błękitnego horyzontu, kręci kark. Juliusz Cezar nazywa się bowiem Fuad El Rachidi i jest egipskim aktorem, miejscowym dublerem swego londyńskiego kolegi, który nie miał czasu, by osobiście przyjechać na podbicie egipskiego państwa przecudnej Kleopatry. Oto marność dzisiejszych, cynicznych czasów! „Rubikon przekroczony!” — mógł sobie wołać w londyńskim atelier, „Alea iacta est!” — wykrzykiwał buńczucznie w studio nad Tamizą, ale by przybyć do Egiptu i osobiście poprowadzić swe wierne legiony do boju, to zabrakło mu odwagi. Całą twarz mam w pasach, tchórzliwy Cezarze, synu zająca i żaby! Co prawda, nie ze wstydu za ciebie, lecz od słońca, jakie jedynie niezmiennie przepieka nad wyraz solidnie.

Nie lepiej od Cezara zachowała się również Kleopatra, która podobno na krótko przybyła do Egiptu z Wielkiej Brytanii i wnet odleciała samolotem pozwalając zastąpić się aktorce z kairskiej wytwórni.

Pęta słusznie kiedyś powiedział, że losy świata wyglądałyby inaczej, gdyby Kleopatra miała nos o pół cala dłuższy.

Artysta pragnął przez to wyrazić, że władczyni Egiptu nie byłaby wówczas tak piękna. Cezar nie zakochałby się w niej i niezgoda w wielkim Triumwiracie nigdyby nie powstała. Tak jednak mogło być jedynie przed laty. Dziś, jeśli Kleopatra ma za długi nos, po prostu angażuje się inną Kleopatę, względnie mały zabieg charakterystyczny, nos ten dowolnie zmienia. Co zaś do nietrwałości uchwał wielkich triumwiratów, to w obecnej dobie nie trzeba Kleopatry, ani jej nosa, żeby niczego nie dotrzymywać. O, biedna Muza Historii!

Celem nakręcenia filmu w Egipcie przyjechał z Anglii zespół techniczny, złożony z 25 osób oraz obsługa z kilku wagonami kostiumów i rekwizytów. Ponadto przywieziono w częściach, które następnie złożono na miejscu, olbrzymią galerę, statek Cezara z wieloma długimi wiosłami.



Walka na pustyni. Czarni wojownicy uciekają w popłachu

Kucznicy Kleopatry motorówką udają się na miejsce walki

mi. Okręt ten posuwa się po morzu tym hyżej, że wewnątrz posiada najnowszy motor Diesla, wymontowany z motorówki. Natomiast łódzie wojenne marynary królowej Kleopatry zbudowano w jednej ze stoczní aleksandryjskich. Łodzi tych jest dziesięć, lecz fotografowane wielokrotnie z różnych stron i w coraz to innym szyku, będą na ekranie czyniły wrażenie niezliczonej flotyli.

Podobnie jak okręt Cezara zostały przywiezione z Londynu trupy poległych żołnierzy — uszyte z worków, wypełnionych watą, oraz naturalnej wielkości Sfinks, który został ustawiony pod Kairem dla zdjąć pustynnych. Nieuczciwą tę konkurencję Sfinksowi egipskiemu uczyniono z tej przyczyny, że należało odtworzyć Sfinksa z czasów rzymskich, prawdziwy zaś Sfinks, strzegący Piramid, to jak wiadomo kontuzjonowany inwalida wojenny z wojny napoleońskiej, kiedy to kula armatnia zgoliła mu brodę.

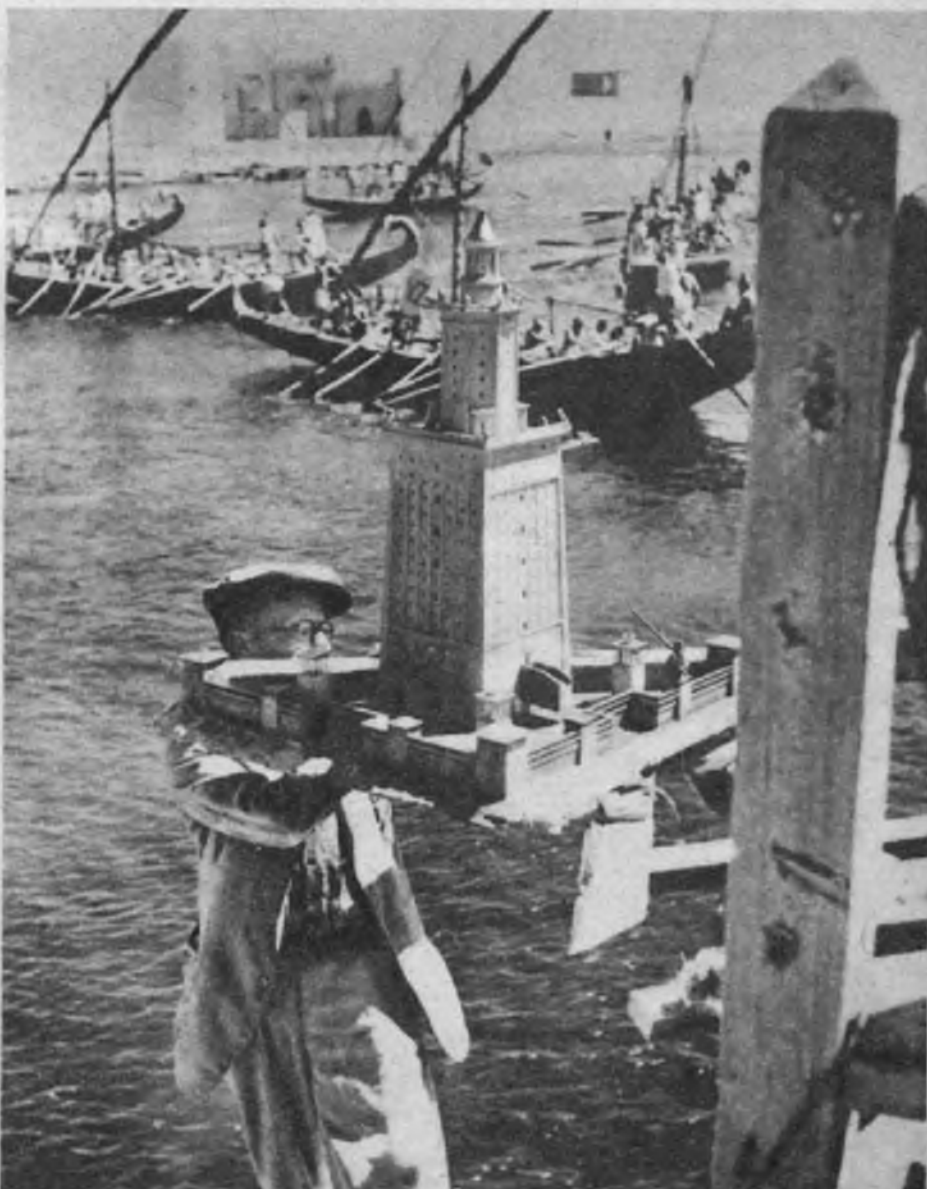
W czasie pobytu na pustyni, Cezara zaskakuje burza piaskowa, straszliwa i śmiercionośna, wywołana nie tyle gniewem bogów, co ustawionymi w pobliżu dwoma samolotami o zapuszczonych śmigłach. Film ten wykonany w naturalnych kolorach, będzie miał cztery kilometry długości, a czas wyświetlania go na ekranie potrwa ponad trzy godziny. Treść i dialogi napisał Bernard Shaw, zaś koszt całego obrazu, nad którym praca zajmie przeszło pół roku, wyraża się sumą milion osiemset tysięcy funtów szterlingów.

I to wszystko robi się po to, ażebyś Ty czytelniku mógł wziąć swoją dziewczynkę pod rękę i wieczorem przy niedzieli wybrać się do kina.

TADEUSZ WITLIN



Model warownej twierdzy, która na ekranie uczyni wrażenie monumentalnej budowli



Zapущone śmigła samolotów wytwarzają sztuczną burzę wokół sztucznego Sfinksa



Poświęcenie obrazu Matki Boskiej Piekarskiej

Obóz taki sam, jak dziesiątki innych na pustyniach. Długie szeregi namiotów, piasek i niełitościwe słońce. Te same mundury, noszone może nieco inaczej, z kawaleryjskim szykiem i zadziwająco przekrzywione berety, lecz ludzie jacyś inni, odrębni od dotychczas spotykanych. Może nieco szorstcy, małomówni z mocno zaciśniętymi ustami. Co tu dużo opisywać, poprostu prawdziwe śląskie „pierony”, silnie przywiązani do tak drogiej sercu każdego Polaka tradycji religijnej.

Niedawno w m. p. Pułku Ułanów Śląskich odbyła się uroczystość poświęcenia obrazu Matki Boskiej Piekarskiej. Obraz ufundowany przez ułanów, a wykonany przez prof. St. Ligoń, jest wierną kopią oryginału, znajdującego się w Piekarach. Dnia 25 kwietnia br. o godz. 20.15 odbył się uroczysty apel, potoczony z odsłonięciem obrazu. Dowódca pułku, ppłk. S., w krótkim przemówieniu podkreślił nierozwalne więzy łączące Ziemię Śląską z Macierzą, wskazał na głęboki kult,

jaki żywią Ślązacy do Matki Boskiej Piekarskiej oraz dał wyraz przekonaniu, że Pułk Ułanów Śląskich wróci do naprawdę wolnej, niepodległej Polski, gdzie odprawi dziękczynne modły przed cudownym obrazem w Piekarach. Na-
zajutrz o godz. 9 rano, po odebraniu przez dowódcę Brygady, płk. B., raportu od dowódcy Pułku Ułanów Śląskich płk. S., odbyła się uroczystość poświęcenia obrazu Matki Boskiej Piekarskiej. Poświęcenia dokonał ks. Dziekan Brandys w asyście duchowieństwa. Aktowi poświęcenia asystowały oddziały honorowe Wlkp. Brygady Pancernej, Pułku Ułanów i Pułku Huzarów.

Pułk Ułanów Śląskich składa się prawie wyłącznie ze Ślązaków, którzy różnymi drogami dotarli do Armii Polskiej. Duża część przeszła piekło niemieckich obozów pracy, wielu, przymusowo wcielonych do armii niemieckiej, przez cztery lata czekało na możliwość wstąpienia do wojska polskiego.
J. W.

Ślązacy ułani niosą obraz Matki Boskiej Piekarskiej



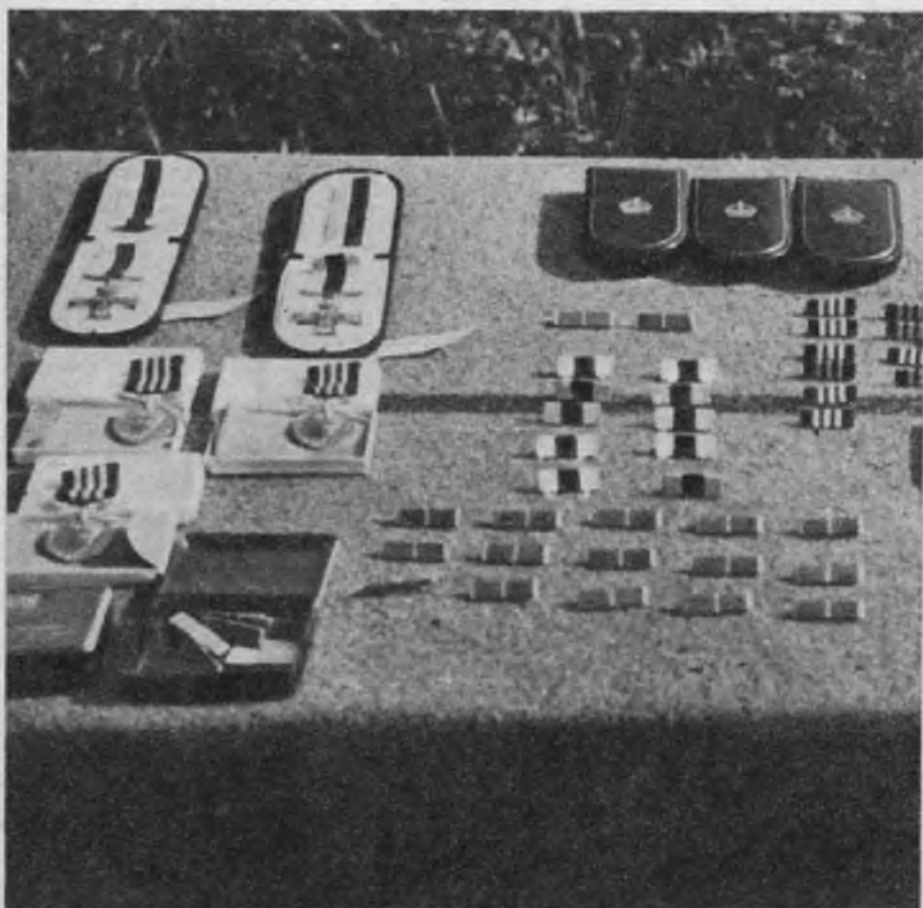
Obraz Matki Boskiej Piekarskiej

Uroczystość została sfilmowana



Odznaczenia brytyjskie przygotowane do dekoracji żołnierzy 2 Korpusu przez Marszałka Sir H. Aleksandra

Przed dekoracją: Marszałek Sir H. Alexander i Gen. Szyszko-Bohusz



**BRYTYJSKIE
ODZNACZENIA
DLA
ŻOŁNIERZY
2 KORPUSU**

Str. 1: fot. J. Michalski
Str. 2: fot. inż. W. Ostrowski, K. Hryniewicz
Str. 4 i 5: fot. inż. W. Ostrowski
Str. 6 i 7: British Ministry of Inform.
Str. 7: fot. J. Michalski
Str. 8 i 9: U. S. Office of War Information
Str. 10: fot. inż. W. Ostrowski, K. Hryniewicz, J. Michalski
Str. 11: fot. inż. W. Ostrowski
Str. 12 i 13: fot. Capt. Harry Lotzof
Str. 14: fot. Stallman, A. Chruściel
Str. 16 — Krakowianka na wlebitg-dzie — fot. Stallman

Układ graficzny:
JERZY MŁODNICKI



W oczekiwaniu na wizytę premiera N. Zelandii

W NOWEJ ZELANDII

Pływalnia polskiego przedszkola



Małe pacjentki polskiego szpitala



↓ Dzieci polskie w szkole

Dom Lotnika Polskiej YMCA



W Nottingham otwarto Dom Lotnika Polskiej YMCA. Oto kilka zdjęć z tego ośrodka, w którym lotnicy polscy spędzają wolne chwile



